№ 41. Warszawa, dnia 28 Września (10 Października) 1895 r. Rok XXXI.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**
EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

Wszystko więc powróciło do dawnego porządku. Z kąpieli zagranicznych i krajowych miejsc kuracyjnych, z letnich mieszkań: Wołomina, Mrozów, Jabłonny i Otwocka, jako też z Riviery i nadmorskich brzegów Normandyi, dokąd szczęśliwsi na słodki mogli się udać wypoczynek — wrócili już wszyscy na śmiecia swoje, do zajęć zwykłych, kłopotów codziennych a i rozrywek, jakie dać może, za niezbyt oddalonemi górami kryjąca się zima.

Zima!

Hm! w różnych duszach różne budzi uczucia.

Jedni z utęsknieniem ją oczekują, innych na myśl o niej niepokój trapi.

Ależ jeszcze parę miesięcy jesieni mieć będziemy, tej jesieni, na którą nie zwykliśmy się skarżyć, bo bywa ciepła i słoneczna, świecąca złotem i purpurą?

Prawda!

Lecz bądź co bądź, niczem innem ta jesień nie jest, jak tylko we wspaniałe szaty ubranym heroldem, zwiastującym przyjście monarchini o koronie wyrzeźbionej z brył lodu, o szacie puchem śnieżnym podbitej i o berle z mrozu.

Niedługo nacieszymy się jej posłem—błyśnie ci na chwilę wspaniałością swych szat i przejdzie.

Czy wszyscy są przygotowani na przyjęcie chlebem i solą i ciepłem kominka tej pani mrozów i wiatrów przenikających do szpiku kości?

Zdaje się, że odpowiedź zbyteczna.

Wiemy, że dużo jest biedy, dużo nędzy, ale—myśląc o tem, zwracamy najczęściej oczy na poddasza lub suteryny, gdzie ukrył się wyrobnik jakiś, lub pracownica igły oddechem wpadniętej swej piersi zmarznięte palce ogrzewa.

Byłem tam i tam, i jeszcze innych wyrobników spotkałem: jest nimi młodzież, która za pomocą nauki chce sobie jakiekolwiek bądź stanowisko znaleść w świecie. Pracuje o głodzie i chłodzie, schylona nad kupionemi za grosz ostatni książkami, nie wiedząca nic, czy jutro będzie miała talerz ciepłej strawy lub chleba kawałek.

To dziwne—ale mundury o szafirowych kołnierzach noszą prawie tylko ludzie ubodzy. A ile walk, ile trudu przenieść potrzeba, by przebyć pięciolecie uniwersyteckie!

Bo nie dość, że sama przez się każda nauka jest trudną, lecz o ile jest trudniejszą przy pustym żołądku; nie dość, że trzeba myśl wysilić, by zapamiętać wszystkie szczegóły danego przedmiotu nauki, lecz dużo potrzeba i czasu stracić, żeby—prócz obowiązków zajęć uniwersyteckich—wynaleść jeszcze kilku rublową korrepetycyę, dającą możność zaspokojenia głodu. Podwójna praca, podwójne wyczerpanie sił, zabijający trud—dla przyszłości niepewnej.

A jednak na barkach tych tylko pracowników spoczywa cały postęp świata, najczęściej tylko ich imiona w późniejszych dobach przyświecają ludzkości.

Ale dla czego o tem wspominam? pytasz. Czy nie jest to coś w rodzaju wyrzutu zrobionego społeczeństwu, że niestara się o osłodzenie ich doli?

Nie!

Podnosiłem nieraz z należnem uznaniem ofiarność naszego społeczeństwa, tej nikt zaprzeczyć nie może. Wiele też jest zapisów stypendyalnych, w kwotach dość znacznych nawet, dających możność pracowania uczącym się ze względnym spokojem o jutro, ale—zapisy te, o których wspominamy, przeważnie tylko są przeznaczone dla studentów wyższych kursów: czwartego i piątego, rzadziej trzeciego, dla dwóch zaś pierwszych nie masz ich prawie zupełnie.

Ofiarodawcy, składający na ten cel piękny, znaczne nieraz sumy, kierowali się, słusznem w części przekonaniem, że korzystać z darów ich mogą ci tylko, którzy już zaznaczyli się, jako pracowici i uczący się dobrze.

W zdaniu tem jest słuszność—lecz w części tylko, bo czyż patenty gimnazyalne nic nie mówią?

Jeżeli uczeń, bez zatrzymania się, przez wszystkie przechodził klassy i cieszy się dobrem świadectwem z nauk i z prowadzenia mu wydanem — czy możemy wątpić o jego gorliwej pracy i nadal?

A tymczasem najtrudniejsze są początki.

Weźmijmy naprzykład młodzieńca, który ukończywszy studya gimnazyalne wstąpił do uniwersytetu. Wieleż to od razu musi ponieść wydatków przewyższających nieraz jego środki utrzymania. Roczna, sto rubli wynosząca opłata uniwersytecka, jakkolwiek rozdzielona na dwa półrocza—nie małą już jest kwotą, dla ubogiego chłopca; do tego przybywa mundur studencki i szenel, a kupowanie, tak zwanych, kursów, bez których żaden uczący obejść się nie może, prócz książek stosownych—to wszystko, jest nadmiernym wydatkiem, mogącym wprost zamknąć podwoje świątyni wiedzy, do której z biciem serca dążyło się przez całe lat osiem.

Najkosztowniejszym zaś jest wydział medyczny.

Tu, oprócz zwykłych, wyżej wspomnianych wydatków, są jeszcze inne, nieuniknione, jeżeli uczący się pragnie rzeczywistą korzyść wynieść z nauki. Należy do nich kupowanie szkieletów i części oddzielnych kości ludzkich, przekroje czaszek, i tak dalej. Wszystko to na wagę złota dostaje się u stróżów w prosektoryum, którzy, wiedząc o konieczności posiadania przez studentów medycyny tych wszystkich części ciała ludzkiego, nakładają na swój towar cenę dowolną, w dziesięć kroć wynagradzającą ich trudy. Do tego i książki medyczne są zbyt drogie, droższe w trójnasób niż inne. Młodzieniec, oddany sam sobie, który z nadmiernym nieraz wysiłkiem skończył gimnazyalne nauki—zostaje zatrzymany w pół drogi i bije się, jak ptak w klatce, chcący przebić zaporę, oddzielającą go od świata.

Lecz słyszał, że są stypendya, zapisy różne—kołacze więc gdzie może.

— Tak, są zapisy—odpowiadają pytającemu—ale dla studentów wyższych kursów, woli ofiarodawców zmienić nie można.

Lecz cóż on zrobi?

Może pożegnać się z myślą dalszego kształcenia się?

Nie!

Przymiera głodem, stając z losem do boju śmiertelnego.

Znam tę studencką biedę, nie z własnego doświadczenia, lecz z doświadczenia innych i życia tych bojowników, które mi wcale obcem nie jest, a wspominając o tem, chciałbym uwagę filantropów, których nie brak u nas, zwrócić w tę stronę właśnie.

Zaprzeczyć trudno ale za mało mamy ludzi tak zamożnych, by mogli rzucać tysiącami.

. . . . . .

Przerzucając różne dzienniki, w jednym z nich znalazłem bardzo ciekawą wiadomość o myśliwskiej wycieczce do Afryki, jaką przedsięwzięli dokonać w d. 3 Grudnia b. r, Józef hr. Potocki z Szepetówki (nie Szepietówki, jak to w Warszawie piszą), Tomasz hr. Zamoyski z Jabłonia i Zdzisław hr. Tarnowski z Galicyi. Panowie nasi mają się udać do kraju Sumalisów i Galasów. Czytamy dalej, że w ciągu ubiegłego lata mężni turyści poczynili już w Anglii przygotowania do tej olbrzymiej podróży, oraz porobili starania, w celu wyjednania protekcyi rządu Angielskiego, polegającej na udzieleniu eskorty zbrojnej. Handlowe domy angielskie dostarczą niezbędnych przedmiotów, które tą nemrodowską wycieczkę uczynią mniej niebezpieczną a wygodną więcej. Ich więc zadaniem będzie zaopatrzyć turystów naszych w namioty, zabezpieczyć ich przeciw zwierzętom dzikim i owadom kąśliwym, dać im dostateczną ilość wielbłądów, zapas stosownego ubrania, różnych konserwów, przyborów tualetowych i kuchennych oraz wody mineralnej, albowiem używanie miejscowej jest niemożliwem dla europejczyków, a przytem wyprawa w ciągu dni sześciu przeciągać będzie przez kraj pustynny, pozbawiony całkiem tego ożywczego napoju. Podróżni nasi kupili już siedemdziesiąt wielbłądów, które zostały niezwłocznie wyprawione do Adenu, twierdzy angielskiej. Orszak, towarzyszący panom, będzie się składał ze stu siedemdziesięciu murzynów, pełniących obowiązek, tragarzy, naganiaczy i t. d. Siła zbrojna dopełni resztę.

Kosztowna to, bo kosztowna — nie setki, nie tysiące nawet dolarów wynosząca wyprawa, ale dla czegoż się nie pobawić, gdy pieniądze są...

Złapałem się!...

Kilkanaście wiersz y wyżej powiedziałem, że zamało mamy ludzi, którzyby mogli rzucać tysiącami.

— Nie rumień się—nie popełniłeś kłamstwa.

— Co?

— Powiadam, że się nie rozminąłeś z prawdą.

— Kto to mówi?

— A ja!

Poznałem głos, mojego kochanego chochlika, który zawsze z pomocą przyjacielską w ciężkich pojawia się chwilach.

— Naprawdę, nie skłamałem?

— Słowo honoru.

— Dokończ, przyjacielu!

— Było tylko... trzech!

Odetchnąłem.

Tak—było tylko *trzech*, trzech panów tylko, którzy sobie na podobną wycieczkę pozwolić mogli. A czyż można im odmówić pomysłu, czy można zaprzeczyć, że silnych wzruszeń i wrażeń doznają, stanąwszy na czarnym kontynencie? Niezabijąż ich serca błogą rozkoszą, gdy dokoła lasy dziewicze zaszumią a ptak rajski o skrzydłach purpurowych wzbije się nad ich głowami? Zanurzą się dalej i dalej, w jakieś głębie nieprzebyte, cienie nieprzeniknione. Przed nimi i nad nimi plączą się ljany, wesołe małpy napowietrzne tany zawodzą, skacząc z drzewa na drzewo, z gałęzi na gałąź. Szeroka rzeka przecięła las, fale drżą lekkim ruchem i uderzają o brzegi.

Baczność!—może łeb krokodyli się wysunie —

Baczność!—może żółte błyszczą tygrysa oczy —

Wytężony wzrok, zaparte w piersi oddechy—chwila niepewności i ukrytej trwogi, gorących pragnień zarazem spotkania się z groźnym zapaśnikiem oko w oko. Miljon—chwila taka jest warta, a będzie kosztowała może dwakroć lub trzykroć, lecz się przywiezie skórę tygrysią, łeb hipopotama, ząb krokodyla a może i małpę żywą.

Wyobrażam sobie, gdy wrócą tryumfatorzy, jak zagraniczne pisma będą przepełnione opisami tej sławnej wycieczki, a naszym dziennikom szpalt zbraknie dla pochwał oddawanych tym mężnym.

Na Termopilach? Nie—na Cheronei trzeba się memu załamać koniowi.

...Co znowu!...

Przybądź mi w pomoc chochliku!

A—niegodziwiec, ukrył się i najmniejszym szelestem znać o sobie nie daje. Czy myśli, że deklamować mu będę?

Nie! choć wiem, że najswobodniej głos się rozchodzi—w pustce.

Zainteresowała mnie afrykańska wyprawa naszych rodaków, jak równie z ciekawością odczytałem artykuł, wyjęty z jednej gazety ateńskiej o postanowieniu wprowadzenia w życie—olimpiad.

Może pomysł i nie zły, w każdym razie oryginalny, a najprawdopodobniej jest dowodem starości świata, który nic nowego nie będąc już zdolnym wymyśleć, sięgnął aż tak daleko, do zamarłej przeszłości Hellady.

W roku więc przyszłym będziemy mieli igrzyska olimpijskie, które, według znanych praw helleńskich co lat cztery powtarzać się mają. Nie myślcie tylko, że odbywać się będą na polu mokotowskiem, o—wcale nie! Ciekawi zechcą się udać do Grecyi, do Aten odrodzonych.

Uspakajam jednak sportowców.

Według statutu, rok rocznie, w każdem państwie będą się odbywały olimpiadki, dla wprawy tych, którzy już na Olimpiadzie popisywać się zechcą. Oto, co w tej materyi pisze jedna z gazet ateńskich:

„Dnia 16-go Lipca r. b. wskutek starań „Union des Sociétés Françaises des Sports Atletiques“ odbył się w Sorbonie kongres międzynarodowy atletów. Liczne stowarzyszenia sportowe były tam reprezentowane, obrady zaś wydały następującą opinię:

1) Pod wieloma względami nader pożądanem byłoby wznowienie gier olimpijskich — ma się rozumieć w stosunku do dzisiejszych wymagań i zwyczajów ale z zachowaniem podkładu starożytnego.

2) Stowarzyszenia wszystkich państw powinny być zaproszone do współudziału, ażeby każdy kraj posiadał swoich przedstawicieli. Gry olimpijskie odbywać się będą w Atenach co cztery lata, co rok zaś w każdem państwie stowarzyszenia powinny urządzać gry podobne, w celu wybrania do walk międzynarodowych sił najprzedniejszych.

3) Wszystkie gałęzie sportu będą tam reprezentowane, a więc: żeglarstwo, łyżwiarstwo, fechtunek, popisy zapaśnicze, jazda konna, strzelanie do celu, jazda na welocypedzie.

4) Profesjoniści, to jest, ludzie poświęcający się sportowi dla materyalnych korzyści, będą wyłączeni.

5) Pierwszy raz gry odbędą się w Atenach w roku 1896 i trwać będą od 5-go do 15-go Kwietnia.“

Zrazu postanowienie to wywołało w Grecyi zapał nie mały, ale entuzyazm znikł szybko, gdy przezorny Grek skombinował, że uroczystości podobne duże za sobą pociągną wydatki a tymczasem interesa kraju do kwitnących nie należą. Znaleźli się jednak, na miejscu, zwolennicy tej myśli, którym udało się usunąć powstające zapory. Ogłoszono składki—i posypały się drachmy, znalazł się nawet miljoner jakiś nazwiskiem Arerofta, który na ten cel, wspaniałomyślnie 600,000 drachm rzucił. Tym więc sposobem zebrany już miljon, zapewnił istnienie odrodzonym grom olimpijskim.

Pod przewodnictwem następcy tronu greckiego uformowała się zaraz komissya, złożona ze stu członków, która podzieloną została na dwa oddziały specyalne. Przewodniczą im książęta: Jerzy i Mikołaj. Po za tem istnieją inne jeszcze komissye, których zadaniem będzie podejmowanie przyjezdnych, ułożonie programu i t. d.

Podobno już w wielu państwach zorganizowały się komitety w celu protegowania i informowania stowarzyszeń, pragnących przyjąć współudział w walkach międzynarodowych.“

Grecya! Ateny! Olimpiady!

Mimowoli przychodzi nam na myśl świat starożytny, który w poważnych koturnach zarysowywał się w umysłach naszych. Chcąc widzieć wzniosłość—zwracaliśmy się do Grecyi, piękność—patrzyliśmy na Grecyę, do niej szliśmy, by w nurtach wód Kastalskich spragnionego ducha wykąpać. Olimpiady były tak ważnym wypadkiem, że na nie dzielili Grecy okresy swej historyi.

Ale co przeszło—nie wraca!

Wspaniałe gry olimpijskie w arlekinowych pojawiają się szatach. Jak już samą nazwę olimpiad z naszym wielocypedem zestawić?

Mimowoli, uśmiech porusza usta.

Nierozumiemy także, co znaczy *podkład starożytny?* Zdaje się nam, że to jest tylko nic nie znacząca gra słów, bo czasy inne, inne zwyczaje i Grecya inna.

Czekajmy jednak, a tym czasem wróćmy do swojego zakątka.

Jak zawsze, tak i w bieżącym roku, pod jego koniec wzmaga się ruch księgarski. Belletrystyka zawsze prym trzyma, ale też i nie brak dzieł poważniejszej treści.

Jedna książeczka, wydana nakładem, zawsze ruchliwej firmy T. Paprockiego, zwróciła moją uwagę. Jest nią *Historya Powszechna* Henryka Wernica, z tablicą chronologiczną, zaopatrzona pytaniami. Mamy przed sobą tom pierwszy: *Dzieje starożytne.* To zaznaczenie na książce tomu pierwszego, mówi nam o zamiarze autora wydania następnych tomów, obejmujących dzieje średniowieczne i nowożytne.

Wspominając o pracy Wernica nie mamy wcale na myśli szczegółowego jej rozbioru. Wspomniemy o niej bardzo pobieżnie, zaznaczając tylko dążność wydawnictwa.

Historya Powszechna...

Czy brak nam książek traktujących o tym przedmiocie?

Nie...

Mamy dzieła bardzo poważnie opracowane przez swojskich autorów i z obcych tłumaczone języków. Mimo to, niniejsza praca pana Wernica, nie tylko nie jest zbyteczną, ale wprost przeciwnie, bo—konieczną. Autor, pisząc dzieło swoje, miał na myśli młode umysły, którym, przystępnym stylem i jasnem zobrazowaniem wypadków—zamierzał dzieje powszechne wyłożyć.

Zamiar się udał.

Książka jest pisana jasno, zrozumiale, zwięźle a wyczerpująco; brak zaś w niej zupełnie suchości opowiadania, która zwykle nuży młodych czytelników, czyni ją nadzwyczaj zajmującą i dobrze mówi o pedagogicznych zdolnościach autora. Jakkolwiek p. Wernic na tytułowej karcie nie oznajmił, że głównie *dla młodzieży* książkę swoją napisał—sposób jednak opowiadania, i umieszczone na końcu każdego rozdziału *Powtórzenie*, tłumaczą nam jasno intencyę autora. Że tak zrobił—dobrze zrobił. Podobnych prac jak najwięcej nam potrzeba i szczerze polecamy wszystkim zaopatrzyć domowe biblioteki swoje w dziełko pana Wernica.

Druga, bardzo sympatyczna dla nas praca, to: *Kobiety-poetki*, skreślone dzielnem piórem znanego poety Antoniego Pileckiego.

Okrutna nas pokusa bierze szerzej rozpisać się o tem literackim studyum, doskonale pojętem, a potoczystym i barwnym napisane językiem. Wstrzymuje nas jednak od zasłużonych pochwał, któreby były wynikiem szczegółowego rozbioru—pewna okoliczność a nią jest, że owo studyum, wypowiedziane w swoim czasie publicznie z katedry, było drukowane w piśmie, którego mam zaszczyt być kronikarzem. *Pro domo sua* zaś pisać—to niby nie wypada.

Gdyśmy zeszli na temat książkowy, nie możemy nie wspomnieć o miniaturowych wydawnictwach złoczowskich dokonywanych nakładem księgarni p. Wilhelma Zukerkandla

Wydawnictwo to galicyjskie godne jest zaznaczenia. Tomiki niewielkie, papier i druk bardzo dobry a wybór dzieł prawie nic do życzenia nie pozostawia, a do tego przystępna cena, bo od 10 do 20 kopiejek (rzadko dochodzi do 40—wtedy grubość książeczki jest podwójna) powinna niejednego zachęcić do nabycia tej: *Biblioteki Powszechnej*, do której wchodzą najcelniejsze utwory literatury wszechświatowej, począwszy od klasyków rzymskich a skończywszy na pisarzach doby obecnej.

Oczywicie, że wydawnictwo nie trzyma się chronologicznego porządku, autorowie są brani przygodnie, ale z każdej epoki, z każdego narodu wydobywa się po perełce jednej. Znajdziemy więc Cycerona i Franklina, Hołowińskiego i Maupassant'a, prastarą Niedolę Nibelungów i bajki naszego Krasickiego. *Tutti frutti*—lecz same tylko dojrzałe owoce.

Bez *ale* jednak się nie obejdzie, tylko, że temu *ale*, niezupełnie jest winien wydawca, bo główna wina spaść musi na tłómaczów i swojskich a *dzisiejszych* autorów.

Jest niem—zaniedbanie językowe.

Niestety! grzech ten coraz częściej się popełnia. Szczególniej dziennikarstwo nasz na ostrą naganę zasługuje.

Ale co powiedzieć o pisarzach, którzy już zaznaczyli działalność swoją i to nie byle jak nawet, na polu piśmiennictwa?

Nie niedbalstwo to już jest, lecz wprost niechlujstwo.

A coraz częściej spotykają się te grzechy, mimo nawoływań takich strażników czystości naszego języka, jakim jest prof. Piotr Chmielowski. W każdej niemal jego recenzyi o książce nowowydanej—znajdziemy wytknięcie błędów. Mało, że już weszło w ogólny prawie zwyczaj używanie przysłówka *więcej* z przeczeniem, co jest naleciałością z francuczyzny, mówimy np: nie chcę *więcej* (je n'en veux plus) zamiast *już*: mało tego, że naodwrót, zaimka *żaden a, e*, używamy bez *nie*, co jest już wprost szkarada—np. *z konferencyi tej wypadł rezultat żaden*, zamiast: *nie było żadnego rezultatu;* lecz coraz częściej dają się spotykać, w wołaczu, imiona żeńskie, jak, *Róziu*, *Zosiu* przez *o* na końcu pisane.

Przed paru dniami znalazłem w powieści jednego cenionego nawet autora szkaradztwo takie, jak: *najczęściejszy*, zamiast *najczęstszy*, albo *widmo* przez *fantom* zastąpione.

Przysłowie powiada: im więcej w las, tem więcej drzew.

Czyśmy już nie zadaleko zabrnęli w ów las błędów językowych?

Nie iść dalej, lecz cofać się nam potrzeba.

Czy to tak trudno?

Mówicie o przyzwyczajeniu — o lenistwie lepiej powiedźcie. Lecz w pewnych chwilach jedno i drugie ani wytłumaczone, ani rozgrzeszone być nie może.

??

Pieśń o tęsknocie ludzkiej,

przez

Jarosława Vrchlickiego *).

Tęsknota nie ma dna jako morze,
Upalna niby pustyń przestworze,
Jej perła—jest to pragnień spełnienie:
To na oazie słodkie marzenie.

O ty wędrowcze w pustyń przestworzu,
Żeglarzu, coś jest w bezbrzeżnem morzu,
O serce mrące za celem w niebie,
O jakże żal mi, żal mi jest ciebie!

W pustyni grobów jest sto tysięcy,
A w morzu grobów jest jeszcze więcej.
Gdybyś przynajmniej był ptakiem w górze,
Chmurką, co płynie w niebios lazurze.

Ale daremnie! Tyś biedne serce,
Które tu każdy ma w poniewierce,
A morze straszne, w stepie żar słońca,
A ta tęsknota twa nie ma końca.

Przełożył z czeskiego
Bronisław Grabowski.

*) Ze zbiorku „Okna w burzy."

CO ŻYCIE DAĆ MOŻE.

IV.

Charakter.

Kto umie patrzeć dobrze na życie zrozumie, że w życiu tem siła charakteru, to jest siła woli, znaczy więcej niżeli wiedza, niżeli bystrość spostrzegawcza; kto chce być szczęśliwym i zarazem uczciwym, musi mieć ustalone pojęcia o celach i obowiązkach życia ludzkiego — musi stać mocno przy tem, co uważa jako obowiązków tych wypełnienie. Wartość i zasługa życia opiera się więc na stale ugruntowanych przekonaniach, trzeba nam też je posiadać, jeżeli chcemy aby życie to dało nam szczęście i zasługę. Angielski myśliciel Keble pisze też, że nie należy nam nigdy wachać się i ociągać z wyrokiem, co nam czynić trzeba, jeżeli sumienie nasze wydało już sąd swój, co jest tu obowiązkiem. Lubbock dodaje jeszcze od siebie, że nikt z ludzi nie stał się prawdziwie szczęśliwym, ociągając się z wypełnianiem powinności swoich; trzeba nam powiedzieć sobie szczerze i po namyśle głębokim, do czego jesteśmy zdolni—czego możemy się spodziewać po siłach i zdolnościach naszych, lecz potem już, gdy umysł nasz zawyrokował, nie godzi nam się chwiać i cofać. To stanowi w człowieku charakter.

Co nam jest najpotrzebniejszem w życiu? pytał szlachetny poeta Wordsworth,—co stanowi podstawę szczęścia ludzkiego? Nie pieniądze, nie potęga żadna, nie sława, nawet nie bystrość umysłu, nawet nie to abyśmy kochając, kochanemi byli—odpowiedział on sobie. Trzeba nam przedewszystkiem siły charakteru, bo na niej opiera się to wszystko, a nie ma tu różnicy żadnej pod względem płci, czy stanu. Kobieta czy mężczyzna, magnat czy żebrak, jednakowo potrzebują posiadać przekonania niezmienne, bo inaczej będą jak ten liść z drzewa spadły, którym wiatr pomiata i za każdym podmuchem w inną stronę go niesie. Charakter nasz jest przecież wyrobem naszej własnej woli. Nie każdy może posiadać pewne zdolności, których pragnie; nie każdy może być poetą albo muzykiem, wielkim artystą, czy uczonym, skoro natura naszej istoty nie uformowała nas do tego, ale każdy może wyrobić sobie siłę woli, na której by opierał się jego charakter: być poważnym w poglądach na życie, być uczciwie szczerym w stosunkach z ludźmi, wytrwałym w pracy, nie kochać się w używaniu przyjemności przelotnych, nie kochać się w zbytku, ale mieć obok ustalonego sądu o stosunkach życia, zamiłowania szlachetne, to jest zawsze w mocy człowieka.

Wielkie jest zatem pole rozwoju sił człowieka, trzeba tylko, aby charakter jego nie stał tu na przeszkodzie, a niewolno mu jest wymawiać się tem, że otrzymał go takim od natury, bo człowiek jest istotą wolną i ma możność, ma prawo dostojne rządzenia sobą. Franklin, który niejedną dobrą radę zostawił nam w spadku po sobie, pisze: „Postanowieniem moim było zawsze i jest wyrobić sobie nawyknienia dobre, bo gdy je posiadamy, spełniamy niemal machinalnie to, nad czem inni męczą się i muszą walczyć ze sobą, aby spełnić to, co uważamy za potrzebne dla zdrowia naszego ducha." Należy nam patrzyć na życie z jego punktu podwyższonego, bo kto nie podnosi wzroku ku górze, musi z konieczności patrzeć w dół i widzieć tylko rzeczy maluczkie, przez co umysł jego zacieśnia się i maleje, a odbija się to zawsze na charakterze jego, bo nie pragnie on już rzeczy wzniosłych, nie pożąda dla ludzkości wybicia się po nad szczęście materyalne.

Postęp leży w naturze człowieka i nie godzi mu się opuścić do leniwego zastoju, trzeba przecież baczyć nam na to, gdzie, w jakim kierunku postęp ten nas prowadzi? bo jest jeden postęp prawdziwy, drugi ułudny i zwodniczy. Szlachetność, siła charakteru staje nam się wtedy zbroją mocną, która odpiera to, czego nie godzi nam się dopuścić do siebie. Jakże więc pogodzić te dwie rzeczy: postęp i zachowawczość? Ambicya popycha na przód, ale pamiętać nam potrzeba, że nietylko to, co nowe, prowadzi nas w stronę dobrych życia nabytków i ta godność charakteru podniosła, która się ambitnie nie ugania za błyskotliwą chwałą zdobyczy postępu, stoi tu na straży: broni, abyśmy się nie stawali renegatami starych cnót, przyjmując z nową wiedzą zadań ludzkości cnoty nowe. Najwyższą dumą człowieka jest i będzie zawsze uczciwe spełnianie obowiązków, które życie mu daje i Welington tak to pojmował, że w raportach jego z pola wielkich starć, wielkich walk narodów, nigdy nie było nic o chwale, a tylko o obowiązku i to, jak świadczy dziś jeszcze skreślana historya Anglii, malowało podniosłość jego charakteru. Nie czynił nic dla blasku, a wszystko dla idei tej szlachetnej, która powiodła go za to do chwały tej szczytu, zapewniającej mu uznanie i miłość jego ogółu—dała miejsce w historyi narodów.

Powaga charakteru daje jedynie taki nastrój, oddziaływający na duchową stronę czynów spełnianych, nie pozostanie też po nas nic prócz tego, co rodziło się z woli naszej czynienia źle lub dobrze. Lubbock przytacza zdanie uczonego człowieka, Ruskina, że niczem jest dla ludzkości to, cośmy wiedzieli, cośmy zamyślali, i jedynie to, cośmy czynili pozostanie po nas jako świadectwo podniosłości naszego charakteru. Uczciwość i miłość prawdy zajmują tu miejsce najwyższe. Pierwszą oznaką szlachetnego nastroju naszych uczuć i pojęć — godności naszego charakteru jest silne stanie przy prawdzie. Plutarch tak to określił; że „kłamca gardzi bóstwem, a lęka się człowieka" w czem jest dowód wstydu, że popełnił rzecz złą, że przecież nie chce spełnić pokuty, więc nie może tu być i odkupienia. Nie łatwo dają się obliczyć te wszystkie przymioty, które stanowią o charakterze człowieka, przecież szacunek prawdy, prawdy trzymanie się jest oznaką najwybitniejszą uczciwości i godności istoty naszej.

„Kłamać to zaprzeć się samego siebie," wyrzekł rozumny mąż niemiecki, Max Müller. Człowiek, który tego nie rozumie jest istotą nizką. Patrzmy na życie prawdziwie wielkich i dobrych ludzi, badając dla czego nazwano ich wielkiemi i dobremi? Ponieważ mieli odwagę zbadać sami siebie i stanąć wiernie przy tem, co było wielkością, co było dobrem. Dwie te rzeczy, jakoby sprzeczne ze sobą, powinny przecież działać harmonijnie w każdym człowieku: mężna niepodległość i mężna podległość, gdzie tego potrzeba. „Nauczmy się posłuszeństwa, a będziemy umieli dobrze rozkazywać—nauczał Wordsworth—nieposłuszny żołnierz nie będzie nigdy dobrym generałem." „Ludzie często się mylą — dodaje ten poeta — biorąc namiętność za żywotność, a cierpliwość za brak siły czynnej. Cierpliwość oparta jest właśnie na sile, gdy gwałtowna namiętność jest znakiem słabości i brakiem kontroli nad samym sobą." Władza wszelka obciążona jest odpowiedzialnością i dla tego potrzebą jest, aby ci, którzy ją wykonywają, umieli myśleć i czuć. Jeżeli ludzie, mający przed sobą wielkie obowiązki do spełnienia, oddają im się całą duszą, dobrze czynią, bo cięży na nich i odpowiedzialność stosunkowo wielka, należy im przecież aby się wywiązywali i z drobniejszych obowiązków swoich, bo inaczej ich pojmowanie tego, co jest powinnością słabnie i rozluźnia się ta karność sumienia, które nakazuje nie zaniedbywać niczego, co jest nakazanem przez prawo moralne.

Jeżeli trzeba nam wybierać między dwoma obowiązkami, należy zawsze podjąć ten, który jest nam bliższy; wiele kobiet szlachetnie czujących i myślących, oddaje się świętobliwie czynom wspomagania

bliźnich, nawracania na dobrą drogę upadłych, ale jeżeli zaniedbają przez to dom i rodzinę własną, źle czynią, bo tu jest ich obowiązek, przyjęty już poprzednio i którego waga jest wielką. Są prawa, których niewolno naruszać dla względów żadnych i naczelniczka rodziny: żona, matka, pod takiego prawa karnością zostaje. Lubbock wykazuje to i dodaje, że każde zaniedbanie tu obowiązku sprowadza za sobą karę. Wykonywamy ją sami nad sobą, bo ludzkość jest tak zorganizowaną, że powinności swoich nie może naruszać nikt bez szkody nietylko własnej i jeżeli nawet ci, którzy są pokrzywdzeni, wybaczają, niemniej skutki złego mszczą się na nas w sposób naturalny, to przez brak, to przez nadmiar czegoś.

Lubbock wykazuje jak w skutek takich to pomyłek tworzą się zastępy ludzi nieszczęśliwych. Odpowiada temu nasza stara piosenka, zaczynająca się od słów „szczęście w nieszczęściu nie jest żadnym, darem,“ a skutek to jest nie dość głęboko pojętych zobowiązań. Życie człowieka przedstawia jakoby podróżnika, idącego obraną a długą drogą; niech że pociągnięty jaką ponętą dostrzeżonego w oddali pięknego widoku, zasłyszanego śpiewu ptaka, zboczy z toru swego, zabłądzić może łatwo i dzieje się tak często z ludźmi, Ani wiemy jaka siła niedobrego uroku pociągnie nas za sobą; postanawiamy sobie zejść z toru swego tylko kroków kilka, przecież zwolna posuwamy się coraz to dalej, aż tak daleko, że już nie łatwo powrócić, bo zaginął nam z przed oczu szlak wiodący do obranego celu, a zabłąkany podróżnik nie przypuszcza z czem spotkać się może, rzecz to przecież ważna nawet dla ludzi, których nie nazywamy słabemi.

Ludzkość—twierdzi Emerson—dzieli się na dwie klasy: dobroczyńców tej ludzkości i jej wrogów. Kto należy do tej drugiej kategoryi zamienia życzliwych mu w nieprzyjaciół, pamięć czyni sobie torturą, życie boleścią, a świat więzieniem.“ Gdyby przecież chciał i umiał pojmować układ i przeznaczenie ludzkości — gdyby umiał rozjaśniać je sobie poglądami na strony życia piękne i szlachetne, godziny, dnie życia tego, były by mu jasne i wdzięcznie piękne, a w usposobieniu takiem stawał by się coraz lepszym, przez coraz to tkliwsze ukochanie bliźnich, względem których spełniał by misyą dobrego anioła, budząc im też w piersiach wdzięczną miłość dla siebie. Było by też rzeczą wielce pożyteczną—dobroczynną dla człowieka, gdyby codzień oddawał się choćby przez godzinę, pół godziny, myślom o celach życia, o prawach bliźnich mu ludzi i prawach własnych. Powiedziałby sobie niemal każdy, że prawa te odnoszą się do coraz to wyższej, szerszej wiedzy celów życia—powiedziałby z kolei, że obowiązki względem ludzkości, wykonywane z punktu braterstwa tej ludzkości, podnosząc go podnosiły by siłą przykładu i innych, coraz to rozszerzając na ziemi panowanie dobra. Peel, którego życie było zawsze pracowicie i użytecznie zajętem, miał zwyczaj czytania co wieczór przed położeniem się spać jakiegoś rozdziału z Pisma Świętego, który by się odnosił do spraw dnia upłynionego. „Myśl o tem, co jest dobre, aby nie przystępowały ciebie myśli złe,“ było jednym z kanonów jego życia, wiedział bowiem, że potrzeba człowiekowi wpływów uszlachetniających go, gdyż inaczej może przystąpić doń to, co poniża, a w każdym razie duch wymaga tak, jak ciało, pokarmu odżywiającego.

Aby siła charakteru naszego nie słabła w jego stronach szlachetnych, nakazywał on sobie i radził innym codzienne rozmyślanie o życiu i czynach ludzi szlachetnych, bo i duch potrzebuje posiłku—potrzebuje, padniecającej go mocy, aby nie ogarnęła go martwota zastoju. Seneka już potrzebę tego odczuwał, nazywając to zyskiem wielkim ducha ludzkiego, gdy dowiaduje się o rzeczach dobrych. Ludzie, nawet najlepsi, nie są nigdy doskonale dobremi i potrzebnemi też są dla każdego wzruszenia uczuć szlachetnych, aby nie stał się tam zastój—potrzebnemi są jako skrzydła przez które duch nasz wylata po nad poziom ziemskiego padołu.

M. I.

Ludwik Pasteur.

Wspomnienie pośmiertne.

„— Dwa sprzeczne prawa walczą dziś ze sobą w świecie. Jednem jest prawo krwi i śmierci, które przewodniczy wynajdywaniu coraz to nowych i straszliwszych sposobów zniszczenia;—drugiem jest prawo pokoju, skrzętności, siejby i miłosierdzia, które powoływa do życia wszystkie prace, dążące do odwrócenia klęsk zagrażających ludzkości...“

„Pierwsze prowadzi do zdobyczy przez gwałt, nie wzdragający się poświęcić kroci żywotów ludzkich dla ambitnych celów;—drugie, mając jedynie pomoc i ulgę na celu, wyżej stawia życie jednego człowieka nad wszystkie tryumfy, i odszukuje na pobojowiskach nawet ofiary wojennego prawa, by goić ich rany...“

„I które z tych dwóch praw zwycięży, Bóg to jeden tylko wie!... W każdym razie może nauka francuzka z czystem sumieniem o sobie powiedzieć, że służąc temu prawu ludzkości i miłodzierdzia, wszelkiego przyłożyła starania, by rozszerzyć granice życia!...“

...Słowa te, wypowiedziane przez Pasteura przy otwarciu zakładu dla leczenia wścieklizny, postawiłem na wstępie niniejszego wspomnienia, dlatego. że tak wybornie streszczają błogosławione dzieło tego człowieka. „Rozszerzać granice życia!“—oto cel nieutrudzonej jego działalności;—dobro Francyi, dobro ludzkości i honor francuzkiej nauki—oto myśl, która go zawsze niosła. Te dążenia streszczają w całości tego człowieka, którego starożytna Hellada, gdyby żył był za jej czasów, byłaby niezawodnie jako dobroczyńcę ludzkości na równi z Herkulesem i Tezeuszem zaliczyła w poczet swych półbogów!...

Mało kto zdaje sobie dokładnie sprawę z odkryć Pasteura. Jeżeli powiem, że odkrył trzecie królestwo w dziedzinie żywej przyrody, to zaledwie uczony przyrodnik zrozumie jak wielce rozszerzył granice wiedzy tem odkryciem. Gdy dodam, że ten świat nieprzeczuwanych dawniej mikroskopijnych drobnotworów, które on pierwszy odkrył i zbadał, jest przyczyną wszelkiej fermentacyi, jako też wielu zaburzeń w żywych ustrojach—sprawa nabiera pierwszorzędnej wagi dla rolnictwa, hodowli bydła, piekarstwa, gorzelnictwa, piwowarstwa, koniarstwa, winiarstwa, i t. d., nie mówiąc już nic o medycynie i chirurgii, ani też o tem, iż odkrycia jego otwierają całkiem nowy pogląd na ustrój świata, a niektóre z nich rozwiązują zagadnienia, mające pierwszorzędną doniosłość dla filozofii Krótko mówiąc, wywołał on przewrót w nauce, czyli raczej przeobraził ją, nowe jej otworzywszy światy, i na nowe ją popchnąwszy tory...

Nie tu miejsce kreślenia dziejów tych wiekopomnych zdobyczy, które Pasteurowi w panteonie wiedzy wyznaczają miejsce obok Kopernika i Newtocza. Przypomnijmy tylko, że sama już ekonomiczna doniosłość praktycznych korzyści, jakie z jego odkryć i wynalazków odniosły francuzki przemysł i rolnictwo, jest tak wielką, że wedle słów niedawno zmarłego Huxleya, zasoby za ich sprawą osiągnięte zawszeby już wystarczyły na pokrycie owych pięciu miljardów wojennej kontrybucyi, którą w r. 1871 Francya niemcom zapłaciła. I rzeczywiście, jeżeli się weźmie pod rozwagę, ile metodom Pasteura zawdzięczają francuzki przemysł gorzelany, winiarski, koniarski i browarniczy—ile chów bydła, owiec i koni zabezpieczony od zarazy za sprawą ochronnej szczepionki węglika (karbunkułu)—ile uprawa winnic dzięki opanowaniu filoksery, to okaże się, iż w ocenie Huxleya nie ma wcale przesady. Samem wynalezieniem nowej metody obchodzenia się z nasieniem jedwabników ocalił on Francyę od klęski, która w jednym tylko roku 1874 wyrządziła francuzkiemu jedwabnictwu 100 milionów szkody!..

Jakkolwiek same te zasługi zapewniają już Pasteurowi niespożytą sławę (gdyż to, czem tutaj wzbogacił kraj rodzinny wzbogaciło także i naukę i stało się za jej sprawą ogólnem dobrem ludzkości) to jednakże są one jeszcze niczem w porównaniu do zasług, jakie położył na polu... „rozszerzenia granic życia.“ Mówię tu o terapii bakteryologicznej, którą wynalazł i pierwszy wdrożył przez ochronne szczepienie wścieklizny, wydające wedle statystycznych wykazów pomyślne wyniki. Tu istotnie, gdy się weźmie pod rozwagę genjalność tego pomysłu odtruwania chorobotwórczych zarazków przez odpowiednią kulturę, i zabezpieczenia za ich sprawą organizmu przeciwko zarazie—ogarnia człowieka zdumienie. Jakiejże to olbrzymiej pracy, jakiej miłości, jakiej pilności, jakiego wytrwania trzeba było na to, by stwierdzić prawdziwość tej teoryi, i wywalczyć jej powszechne uznanie?...

Dzieła tego mógł tylko dokonać człowiek taki jak Pasteur, jednoczący z genyalną pomysłowością niestrudzoną wytrwałość. Opisywano wielokrotnie jego laboratoryum, i rzeczywiście obraz to, zasługujący na to, by go tu powtórzyć. Wyobraźmyś sobie nową arkę Noego pełną zwierząt dotkniętych najrozmaitszemi chorobami; w piwnicach setki kur, kogutów, królików, świnek morskich, kóz, i t. d., przeznaczonych do doświadczeń i oczekujących próbnego zastrzyknięcia; na górze laboratoryum z rzędami operacyjnych stołów, na których stoją serye flaszek i rurek, napełnionych krwią, obrzydliwemi wypróżnieniami, zawierającemi zarodki najstraszliwszych chorób, pianą psów wściekłych, wymiotami żółtej febry, i t. d.; miseczki z gnijącemi cieczami, piecyki na których warzą się nasiona, szklane banie z kulturami zarazków. W tem wstrętnem środowisku, w tej kuchni czarownic, napełnionej wyziewami gnijących ciał i zatrutych gazów, krzątał się Pasteur całe lat dziesiątki, mięszając, płucząc, warząc, przechowując te jady, z których jeden atom wystarcza, by zabić człowieka wpośród najsroższych męczarni.

Jedynie tylko dziełem swem zajęty, żył niem całą duszą, zapominając o swych dolegliwościach: (skutkiem nadmiernych wysiłków bowiem został przed wielu laty dotknięty bezwładem prawej ręki:) o względach na swe wątłe zdrowie, o tem, że ma dom, rodzinę, własne interesy, i nie dozwalając sobie w tych trudach żadnego wytchnienia, żadnej z tych rozrywek, które są wypoczynkiem i pokrzepieniem innych ludzi.—W r. 1886, mając podziękować artystom, którzy brali w wielkim *festivalu*, urządzonym w Trocaderze na korzyść mającego się założyć szpitala dla leczenia wścieklizny, rzekł im z rozrzewniającem zakłopotaniem: — „Wstyd mi prawdziwie wyznać państwu, że wielu z was słyszałem dziś po raz pierwszy. Istotnie niewiem, czym był w życiu swoim dziesięć razy w teatrze.

W trudach tych nieustawał Pasteur aż do końca życia. Telegramy doniosły nam, iż przyczyną jego śmierci było zaziębienie, któremu uległ w własnej pracowni, przechodząc z mocno ogrzanych do chłodniejszych izb. W istocie jednak był on już chorym od dłuższego czasu, i zalecali mu lekarze przerwę nużących prac, nie wydalanie się z domu i spoczynek.—„Tak—rzekł wtedy z smutnym uśmiechem, popełniając jedyny może w swem życiu kalambur—chcecie bym zmienił kierunek mych prac, bym badał *la theorie des at home's.—et homa* wyraz angielski znaczący tyle co „w domu,“ a więc teoryę siedzenia w domu; w francuzkiej wymowie jednak brzmiało jak *atomes*—teoryę atomów.

W tem wszystkiem niosła go gorąca miłość ojczyzny, którą przyjął był z krwią i mlekiem po swych rodzicach. Pasteur był synem ubogiego garbarza, byłego napoleońskiego żołnierza, którego całym majątkiem był krzyż legii honorowej na pobojowisku zdobyty. Biograf Pasteura opowiada, iż stary napoleonista powiesił krzyżyk ten nad kołyską swego syna—szczegół rozrzewniający i malujący nam atmosferę, która w tym ubogim domku panowała. Wpływ tego otoczenia oddziałał rozstrzygająco na całe życie Pasteura, jak to sam zaznaczył w swem przemówieniu przy otwarciu zakładu dla leczenia chorych na wściekliznę. Stanąwszy wtedy już u szczytu swej chwały, zaszczycony uznaniem całego świata, wołał on z rozrzewnieniem:

„— O mój ojcze, o moja matko, o moi drodzy umarli, którzyście tak skromny żywot prowadzili w ubogiej chatce—wam ja zawdzięczam to wszystko! Dzielna moja matko, tyś we mnie wszczepiła twe zapały. Jeżelim zawsze z myślą o wielkości nauki łączył myśl o wielkości Francyi, to dlatego, żem

w sercu nosił uczucia, któreś ty, matko moja, tam wszczepiła. A ty, mój drogi ojcze, którego żywot był również twardy jak i rzemiosło, tyś mi pokazał co może z działać cierpliwość w długim wysiłku; tobie zawdzięczam upór w codziennej pracy. Tyś miał nietylko wytrwałe przymioty, które są podwaliną i motorem użytecznych żywotów, ale także i kult wielkich ludzi i wielkich rzeczy!—Patrzeć w górę, badać to, co leży na dnie, wznosić się statecznie—oto były zasady, któreś mi w pajał!...“

Wzniosłe te myśli były zawsze bussolą naukowej działalności Pasteura. Jeden z członków jego rodziny opowiada, że gdy mu się po wielu a wielu próbach wreszcie udało stwierdzić skuteczność ochronnej szczepionki karbunkułu, zawołał do łez wzruszony: „—Ach, moi drodzy, moi kochani, nigdybym się nie mógł był pocieszyć, gdyby to odkrycie nie było francuzkiem odkryciem!“—Pracując nad doskonaleniem wyrobu piwa, marzył o przyszłej konkurencyi francuzkich browarów z niemieckiemi, jako o naukowym i ekonomicznym odwecie za pogrom z r. 1870—71. Klęskę swej ojczyzny odczuwał nader boleśnie, a jakkolwiek swej niechęci ku niemcom nieposuwał tak dalece, by tryumfować z powodu nieudałych prób Kocha z „kochainą“, to jednakże uznał za stosowne odesłać niemieckim uniwersytetom dyplomy honorowe, jakie od nich przed wojną otrzymał, i nie przyjąć pruskiego orderu *pour le mérite*, którym go odznaczyć pragnął niedawno temu cesarz niemiecki.

Rysy te wystarczają dla charakterystyki człowieka i obywatela. Trudniej byłoby scharakteryzować doniosłości pasteurowskiego dzieła, o którem tu pobieżnie wspomniałem. Za impulsem przez niego danym poszła cała falanga uczonych badaczów; dziś mamy już laboratorya bakteryologiczne w Paryżu, Londynie, Petersburgu, Odesie, Warszawie, Wiedniu, Hadze, Turynie, Berlinie, Rio-Jeneiro, New-Jorku i Hawannie, które badania swoje i doświadczenia według metody mistrza prowadzą. Za wyjątkiem leczenia dyfterytu za pomocą surowicy, które także jest zastosowaniem pasteurowskich metod, nie zrobiono jeszcze w zakresie bakteryologicznej terapii znaczniejszego odkrycia, jakkolwiek rozpoznano chorobotwórcze zarazki wielu chorób. Nie zapominajmy jednakże jak nową gałęzią nauki jest bakteryologia, i jak tajemniczym ów świat drobnotworów, którym się ona zajmuje. Kto wie jakie błogosławione owoce zejdą jeszcze z tego płodnego siewu! Zresztą jeżeli się medycyna nie może dotychczas pochwalić wielkiemi na tem polu odkryciami, to za to wpłynęły pasteuroskie poglądy stanowczo na pomyślny rozwój chirurgii. Przy dzisiejszych antiseptycznych opatrunkach Listera utraciły już chirurgiczne operacye swoją dawniejszą grozę. Przewodnia myśl Pasteura: „Rozszerzać granice życia święci na tem polu najświetniejsze tryumfy...“

Włodzimierz Zagórski.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

KLĘSKA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Karczma, którą Lipa od właściciela Jarnej arendował, była ode wsi, o staj kilka oddalona i stała już na szczerem polu, w miejscu, gdzie krzyżowały się drogi. Za nią w dolinie, leżała wieś, przed nią rozciągała się równina, przerżnięta z różnych stron idącemi gościńcami. Co chwila to jakiś wóz zaturkotał, to powóz pański się przesunął, a że omawiana okolica w promieniu mil kilkunastu była pozbawiona dobrodziejstw, jakie przynoszą drogi żelazne: komunikacja więc odbywała się po staremu i nie było dnia, ażeby podróżny jaki do karczmy na popas nie zajechał, lub przynajmniej na chwilowy nie zatrzymał się odpoczynek. Z tej racyi kilka pokojów gościnnych było zawsze zamiecionych, siana i owsa dla koni nie zbrakło nigdy, a samowar czekał tylko na skinienie podróżnych. Wszystkiego doglądał Lipa, bo wiedział z doświadczenia, że oko pańskie konia tuczy.

Lipa należał do tych rzadkich już dziś typów synów Izraela, którzy nie wyrzekli się ni stroju ni obyczaju prastarego, kochali glebę, na której się zrodzili i umieli zaskarbiać miłość ludzką. Dla Baczyńskiego był prawą ręką: czy kupca na zboże wyszukać, czy jaki list ważny na pocztę odwieść, czy coś poufnego sąsiadom zakumunikować—nikt lepiej nad Lipę nie wywiązał się z przyjętego zadania, nikt też lepiej nad niego nie umiał utrzymać języka za zębami. Bywając często w pałacu, oczywiście, że nie mógł uniknąć artystycznych studyów panny Malwiny. Lipa i Stary Malecki, byli, jak dotąd, arcydziełami jej pędzla. O ile pan Krzysztof coś miał z Sierwazego, o tyle Lipa zdawał się być uosobieniem Jankla.

Oczy duże, błękitne, z których, jak to mówią, patrzyła uczciwość, twarz mlecznej prawie białości, ukraszoną delikatnym rumieńcem, a usta miał niby z koralu wyrzeźbione. Niktby mu nie dał lat sześćdziesięciu, gdyby nie srebrne nici na głowie i w brodzie, która, lśniąca jak jedwab i jak jedwab miękka, falisto na pierś spadała,—to też ją gładził z dziwną lubością, jakby się pieścił delikatnością włosa. Lipa niezapomniał i o pejsach; długie, płowe kędziory do ramion niemal spadały i były nie małą ozdobą tej głowy pięknej. W ogóle, rysy twarzy klasycznemi się mogły nazwać, bo i nos linią równą wybiegał z czoła i czoło miało kształt idealny, na którem zarysowały się bruzdy lekkie, jako oznaka przeżytych lat i zamyślań się częstych. Lipa umiał szanować te dary natury, niezaniedbywał się w stroju, czystym był do przesady niemal, a ze szczególną pieczołowitością około rąk swoich chodził.

Ale takich rąk nie łatwo spotkać było można: delikatne, wypieszczone, białe, w ujęciu coś aksamitnego miały w sobie...

Nie dziw!

Lipa nigdy się nie imał pracy ordynarnej: Głównem zajęciem jego było myślenie i usługi, jakie okolicznym panom wyświadczał.

Za szynkwasem siedział Mojsze, Taube dzieciaki karmiła, a on w czarnym atłasowym chałacie, ujętym w biodrach pasem jedwabnym, w jarmułce lub czapce sobolowej, co już zależało od pory roku, prawą rękę za pas założywszy, a lewą przesuwając po brodzie—przechadzał się w pończochach i pantoflach, po izbie karczemnej, prowadząc rozmowę; to z ekonomem, który na kwaterkę wódki zaszedł, z pola wracając, to z organistą o nosie zbyt czerwonym z powodu częstych libacyi, to z gospodarzami wiejskiemi, których niekłamanym był przyjacielem.

Lipa nie lubił pijatyki...

— Pijatyka—to bijatyka,—powtarzał i niewstrzęmięzliwych grzecznie za drzwi wypraszał...

Ale nie zawsze to mu się udawało.

W niedzielę lub święta, gdy lud po całotygodniowej pracy, wyhulać się zechce i w takt cymbałów lub skrzypiec poskakać — wszelkie perswazye są na nic. Kum do kumy, kuma do kuma przypija, parobcy częstują dziewczęta, które sromają się, a piją—powoli krew się rozpala, ochota wzrasta: „Hu—ha!“ brzmi gromkie, aż dzwonią szyby w oknach, a stare karczmisko trzęsie się, jakby ogólną podzielało radość.—Mojsze nie może nastarczyć piwa i wódki, do skrytki ściąga miedziaki, albo na tablicy należność zapisuje. Następuje chwila zamącenia się umysłów i szachrajstwo niesumiennych arendarzy przy ostatecznym obrachunku.

Ale Lipa nie dopuszczał się żadnej nieuczciwości.

Prawda, że gdy ucztującym posłuszeństwo wypowiadać język zaczynał a podniebienie nie odróżniało soli od pieprzu: do półkwaterka wódki, półkwaterek wody się dolewało, lecz wtedy sumienny rachunek wyrównywał owe nieprawidłowości i Lipa za dziesięć wypitych kwaterek, brał tylko połowę należności. Popełniał tę malwersacyę, ażeby chłopstwo nie popiło się ostatecznie.

Inną była etyka Mojsza, ale jej Lipa zrozumieć nie chciał.

Raz, wszedł niespodzianie i zasłyszał taki rachunek:

— Ny—coście wypili? — pytał Mojsze chłopa.—Nie pamiętacie, to ja wam powiem. Na początek był jeden kwaterek wódki—tak?

— A tak.

— Pięć kopiejek. Później wypiliście drugi?

— A tak.

— No—to znowu pięć kopiejek, razem dziesięć. A potem?

— Nic już nie było.

— Nic—to także pięć kopiejek. Razem piętnaście.

— A szajgiec!—zawołał nagle Lipa.—On za *nic*, każe sobie płacić!

Pieszczona ręka pana arendarza spoczęła na chudym karku Mojsza.

— Gałgan, paskudnik, niech ciebie moje oczy nie oglądają—wołał Lipa w uniesieniu gniewnem, ale że Mojsze był dalekim krewnym ukochanej Taube, dał się poczciwy Lipa przebłagać i po kilku dniach rozłąki z rachmistrzem, robiącego coś z niczego, Mojsze znów stanął za szynkwasem, wyrzekłszy się wszelkich pokus złego ducha.

Dzień był pogodny, słońce chyliło się ku zachodowi, trącany lekkim wiatrem kołysał się łan pszeniczny i mięszał rodzajne pyłki kwitnącego żyta. Lipa raz wraz wychodził przed karczmę i patrzał na krętaninę dróg ginących we mgle oddalenia.

Powoli zaczęły się sunąć bryki i koczobryki, faetony i karety. Powozy, w których siedziały panie lub poważni ojcowie rodzin albo ci, co się wprzęgli w słodkie jarzmo małżeńskie — mijały karczmę i spadzistą drogą, spuściwszy się w jar, skręcały do siedziby Baczyńskiego, pojazdy kawalerskie tylko, zdala już przez Lipę witane, wjeżdżały do wnętrza karczmy, na przestrzał otwartej. Nasamprzód wtoczył się piękny zaprząg grafa z Miedzianej Grobli, pana Izydora Zdziarskiego, wślad za nim wjechał podszarzany powóz Bogumiła Czawicza.

Lipa witał przybyłych, a Lipa umiał witać. Tytuł, majątek nie robiły na nim wrażenia; on cenił człowieka, dla jego wartości moralnej, nie połyskliwej szaty. A nikt nad Lipę nie znał dokładniej okolicznego obywatelstwa. Jeżeli wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi, to on wiedział, co któremu się śniło ubiegłej nocy. To też przed jednym uchylał czapki, innego witał lekkim skinieniem głowy—tego uścisnął poufale, tamtemu końce dwóch palców podał. Ludziom, o których nic złego ani dobrego powiedzieć nie mógł, podawał obojętnie rękę, jak to się przy zwykłem powitaniu czyni. Takim też chłodnym uściskiem powitał hrabiego Izydora, przed panem zaś Bogumiłem czapkę lekko uchylił.

— My pierwsi, jak widzę—odezwał się Czawicz.

— *Tant mieux*,—dodał hrabia. — Odpoczniemy i pogawędzimy swobodniej.

Weszli do pokoju.

Izba, w której zatrzymali się, przestronną była, ściany białą wysmarowane gliną i zawieszone kilkoma portretami, właściwie sztychami kolorowanemi, na które czas już swoje piętno położył. Oczywiście, że były to podobizny Napoleona III-go i pięknej Eugenii, a wisiały od lat już może trzydziestu. Z izby tej prowadziły drzwi do następnych dwóch pokojów, które się niczem nie różniły od siebie. Te same sztychy, te same krzywo pokazujące zwierciadła i szyby w oknach pokreślone brylantami pierścionków. Czasami napisy były komiczne, nieprzyzwoite czasami; niejeden przejezdny wyryciem swojego nazwiska upamiętniał bytność swoją w karczmie Jarneńskiej, nie zapominając daty dnia i roku położyć. W ten sposób odnalazła się szyba z roku trzydziestego któregoś. Szacowna to była szyba, którą Lipa od nieprzewidzianego wypadku, siatką z drutu ochronił. Wypisana na niej data, ręką znudzonego może podróżnika, świadczyła o dawności arendowanej przez Lipę karczmy, w której i ojciec jego siedział, i dziad jak wnuk wysługiwał się familii Baczyńskich. Nieznajomemu gościowi Lipa miał święty obowiązek ową szybę pokazać.

— Niech jasny pan patrzy.

Tu wskazywał napis wiadomy.

— A wiele lat ona przed tem stoi? — dodawał i kręcił znacząco głową aż płowe kędziory się chwiały.

— W tym pokoju tylko zacne panowie stają... Niech jasny pan ten pokój zajmie.

Czawicz i Zdziarski zwrócili się do Lipy.

— Każno nam, gospodarzu wody podać. Musimy się umyć i przebrać zanim do Baczyńskich się udamy.

Oczywiście, że Lipa sam nieusługiwał. Wyszedł do sieni i zawołał.

— Szloma—gib wasser!

Kamerdyner hrabiego otworzył skórzane puzderko i zaczął po kolei wyjmować kosmetyki różne i fixatuary, grzebyki i szczoteczki, nożyki do paznokci i flakony z octami tualetomi i innemi pachnidłami.

Czawicz uśmiechnął się.

— Oto ponabierał!—rzucił z pod wąsa.

— Przyzwyczajenie jest drugą naturą—odpowiedział hrabia.

— To prawda—odrzekł pan Bogumił. — Ja naprzykład odzwyczaić się nie mogę od prostego mydła, którem wymywam się codziennie, a gdybym poczuł koło siebie zapach perfum, tobym się zawstydził. Ale prawda, ja już skwitowałem z roskoszy życia, ty zaś chcesz od początku zaczynać.

— Dokończyć tylko...

— Na pączku ledwo co rozwiniętym. Zamiar niezły!—zaśmiał się Czawicz.

Bogumiła z Izydorem łączyła dawna, kolleżeńska jeszcze przyjaźń. Prócz niej, nic wspólnego między nimi nie było. Czawicz, jakkolwiek liczył rok czterdziesty dziewiąty i o siedem lat z górą starszym był od hrabiego, wydawał się, na pozór może, mniej od niego zużytym, a nawet młodszym znacznie. Włos szpakowaty na głowie nic tutaj nie znaczył, bo twarz świeciła zdrowiem, a wąs dziarsko w górę podkręcony dodawał dużo fantazyi tej postaci, krępej, muskularnej, zbitej w sobie, o oczach ruchliwych, które z pod rzęs ciemnych rzucały nieraz ogień młodzieńczego zapału i niezużytej jeszcze energii. Wykoleiła go nieco miłość nieszczęśliwa, i—zapisał się do stanu kawalerskiego. Odtąd pokusom nie ulegał żadnym, pracował na roli w swoich Szczawińcach i świecił okolicy całej dobrym przykładem cnót obywatelskich. Gdyby chciał, mógłby dziś jeszcze dobrą partyę zrobić. Ale on znał siebie na wylot i wiedział, że część zacniejsza jego uczuć już dawno wziętą została. Młodej istoty nie chciał obdarzać przewiędłem sercem, wdówkom zaś letnim nie chciał być przypomnieniem ś. p. ich mężów.

Innym był całkiem hrabia Izydor.

Bogaty, wychowaniec zagranicy, pieszczoch fortuny, zaprędko się przeżył, ale jeszcze z niczego nie skwitował. Postać miał wysmukłą, ruchy salonowca i tę pewność człowieka, który wie, że majątek i ród otworzą mu nie tylko drzwi najwyszukańszych salonów ale i do wszystkich niemal serc niewieścich zastukać pozwolą. Włosy miał blond, rozdzielone symetrycznie przez pół głowy; faworyty krótko przystrzyżone, lekkiem półkolem ku wargom biegły, nad któremi zwijał się za rzadki wąs nieco. Usta miał zapełne, jakby obrzmiałe trochę. Takie usta oznaczają zmysłowość. Oczy o barwie bladobłękitnej, na które często, jakby znużone, opadały powieki—patrzyły zmęczeniem. Oczy te panie romansowemi nazywały, ale pan Aleksy Chostyniecki nazywał je wprost baraniemi. Miss Mary w gorącą obronę brała wejrzenie hrabiego Izydora, ale pan Aleksy zaklinał się, że niewidział barana, któryby innemi patrzał oczyma.

— Schocking! — wzruszając ramionami mówiła angielka.

— Prauda szczyra! — upierał się Chostyniecki, albo Chostyna, jak sam siebie nazywał.

Kamerdyner Zdziarskiego, przygotowawszy wszystko panu, wyszedł z pokoju — hrabia Izydor powoli zaczął rozpinać mankiety u koszuli.

— Więc?—rzucił Czawicz, prawą nogę na lewej kołysząc,—trwasz na seryo w zamiarze?

— Tak!—odpowiedział hrabia.

— A Lola?

Zdziarski zamyślił się chwilę.

— Lola?... No, oczywiście, że z nią zerwę. Za nadto kosztuje mnie pieniędzy, sił i zdrowia.

Czawicz się zaśmiał.

— Ubytku pierwszych nie znać — ale tamtych dwóch...

Dokończył ruchem brwi.

Hrabia przeciągnął się w fotelu.

— Obserwuję siebie nie od dzisiaj, ale to temu nie tylko Lola winna.

— Wiem, że nie lubisz, a przynajmniej nie lubiłeś zawsze liczby pojedynczej.

— To, to—właśnie!... — zaśmiał się bezdźwięcznym głosem pan Izydor.

— I na starość wilk chce się w cnotę zabawić?

— Tylko w rozsądek—odpowiedział Zdziarski.

— Szkoda, że go nie wezwałeś wcześniej...

— Przyznam ci się, że nie żałuję wcale. Użyłem świata—póty! Cóż mogłem lepszego z rozlicznemi darami fortuny zrobić? Pływałem dotąd po zbałwanionych falach oceanu, teraz, do spokojnego portu chcę dobić. Wiem, że krew ostygła do żadnych już mnie nie pobudzi szaleństw, bo bądź co bądź porządnie ją ochłodziłem, a że samotne, nudne, i bezbarwne życie kawalerskie nie bardzo się mnie uśmiecha, chcę sobie stworzyć wreszcie ognisko rodzinne i przy młodziuchnej a kochającej żonie żyć jak Pan Bóg przykazał.

— To bardzo dla ciebie wygodne — rzekł Czawicz,—ale—dla tej młodziuchnej?

— Może być pewna, że jej nie zdradzę...

— Ja sądzę, że przekona się bardzo prędko o tem...

— E—żarty!

— Nie, mój kochany—to święta prawda, bo nie dość, że tobie się zachciało domowego ogniska,—ale ona, ta twoja młodziuchna wnosi ci nie otrząśnięty jeszcze kwiat uczuć, a ty, co dajesz jej w zamian?

— Jakto co?

— Naiwny!—zaśmiał się Czawicz.

— Mów wyraźniej, bo doprawdy nie rozumiem.

— Wiele pocałunków na ustach twoich spoczęło?—spytał Bogumił.

— A ktoby tam zliczył — robiąc obojętny ruch ręką, odparł Zdziarski.

— A na jej ustach?—rzucił Czawicz.

Błękitne oczy hrabiego wpatrzyły się w pana Bogumiła.

— Aa!...—rzekł po chwili.

— Zrozumiałeś?

— Ależ to zupełnie co innego...

— Wiem o tem...—odrzekł Czawicz. — Za cynowe naczynie, chcesz dostać puhar z czystego kryształu. Interes dobry, ale żeby był zupełnie uczciwy, tego nie powiem.

— Przecież zrywam z przeszłością.

— Lecz w tej przeszłości zostałeś ty cały.

— Zacznę życie spokojne, ciche, rozsądne.

— Drogi wasze nie zejdą się nigdy!

— Dla czego?

— Ty schodzisz, a ona rozwija skrzydła do lotu. Nie myśl o tem!

— To już mnie pozostaw panie Bogumile,—rzekł hrabia.—Gdybym był tak zgrzybiałym, jakim jestem w pojęciu twojem, obojętniebym patrzał na piękną postać panny Malwiny. Tym czasem tak nie jest. Dostałem nawet palpitacyi serca, gdym ją widział ostatnim razem.

— Co to za palpitacya była?...—rzucił ręką Czawicz.

— To już mnie pozostaw... Ja tylko od ciebie pewnych wiadomości chcę o pannie Malwinie zasięgnąć.

— Pewnych wiadomości!... Mówisz tak, jakby tu chodziło o Lolę.

— Ależ co znowu! — obruszył się hrabia—przecież Baczyńska!.. Ja chciałbym wiedzieć jakiego jest charakteru, temperamentu, ażebym... *faisant la cour* mógł się zastosować do usposobienia panny. Ty znasz doskonale jej wychowanie, i mógłbyś, czyniąc niektóre wyjaśnienia, z wielką mi przybyć pomocą.

— Znam, to prawda, i dla tego ci szczerze radzę, ażebyś o konkurach zapomniał.

— Zapomniałem, możesz więc mówić spokojnie—rzekł hrabia.

— Powiem ci zatem otwarcie, że jest to charakter gwałtowny, nieutemperowany i samowolny nad wszelkie pojęcie. Żywy obraz Baczyńskiego, natura ognista i namiętna, zdolna nienawidzieć do szału, to kochać bez opamiętania się. Nie powiem, żeby to były zalety, wady prędzej. Ale duża cząstka tych wad, dziś rozbujałych, jest bezzaprzeczenia w znacznej mierze winą rodziców. O piękności nie mówię—można śmiało powiedzieć, że resztę rodzeństwa z niej okradła. Widziałeś ją przecie niejednokrotnie i niezaprzeczysz temu. Mniejsza więc o wdzięk całej postaci, o te włosy czarności kruczej i te usta do pocałunków tylko stworzone, ale spójrz w oczy—to jakaś głębia bezdenna, w którą patrzeć bez zawrotu głowy nie można.

— To też głowa zawróciła mi się trochę—przerwał hrabia.—Cóż dalej?

Czawicz mówił.

— Zepsuły ją nierozsądne pieszczoty rodziców. Ale gdybyś wiedział, co to były za pieszczoty?

Malwinie nic nie wolno odmówić, niczego zabronić nie można było.

Pamiętam, miała wtedy lat ośm. Poszła z ojcem do stodoły, gdzie chłopi cepami żyto młócili.

Podobała jej się ta robota.

Kazała sobie cep niewielki zrobić i przynieść plewy do salonu.

Oczywiście, że wszystko spełnione być musiało.

Panie Jezu Swięty co to za młocka była. Łupu, cupu po aksamitach i adamaszkach—dławiący kurz napełnił powietrze, pył okrył portyery i ściany ale Malwinka bawiła się w chłopa.

Dość ci tego obrazka, ażebyś już wyrobił sobie zdanie o charakterze dziewczyny, która wprost pojąć nie może, że jej czegoś nie wolno. Tak było dawniej i tak jest teraz. Na pochwałę jednak pieszczoszki powiem, że dzisiaj, gdy już jest dwudziestoletnią panną, w niczem a w niczem władzy swojej nie nadużywa. Rozsądek wziął górę nad nieokreśloną fantazyą, dziwactw żadnych nie spostrzegłem, uporu również. Ale zkąd znów ma być ten upór, gdy nic do przełamania nie ma.

— Wspomniałeś coś o namiętności, w czem się ona przebija?—zapytał hrabia.

— A choćby w zamiłowaniu do szalonej jazdy wierzchem. Toć czasem szał ją ogarnia. Przesadza rowy, drapie się po skałach i nieraz strachu niemałego rodziców nabawi, gdy z wycieczek swoich o zbyt spóźnionej godzinie powróci Gdybyś ją widział po tej szalonej jeździe. Oczy błyszczą jak dwa rubiny, rumieńce grają barwą koralów a piersią schwytać powietrza nie może. Baczyński ją kocha i przez jej zamążpójście chce dawny ród swój szlachecki o jeden stopień wyżej postawić.

— Dobra mu się nadaje zręczność—rzucił hrabia.

— To też wiem, że go skaptujesz—cała tylko nadzieja leży w rozsądku panny Malwiny.

— Mam nadzieję, że będzie rozsądną—odezwał się znów pan Izydor.

— A, probuj! Ja ci ni swat ani brat. Jeżeli pytać będą mnie o ciebie, to powiem, żeś fajka wypalona już od dawna. Ale nie zapytają...

Rozmowa się przerwała, bo przed karczmą zapanował ruch wielki; rżenie koni i trzaskanie z biczów łączyło się z turkotem nadjeżdżających powozów. Po chwili—do dwudziestu młodych mężczyzn wtłoczyło się do gościnnych pokojów karczemki.

— A—pan hrabia już tu...

— I Czawicz!...

— Witajcie dobrodzieje...

— Lipa!

— Słucham jaśnie państwa.

— Koniom owsa, ludziom jeść, a nam choć z piętnaście wiader do umycia się.—Kurz okropny, a powóz za powozem, bryka za bryką ciągnęła.

— Chaim—kim, Szloma—kim,—wołał Lipa.

— Cóżeście się tak kupą zwalili?—zapytał Czawicz.

— Zebraliśmy się u Kocia według umowy i razem na bal do Baczyńskich.

Jeden z przybyłych kropnął siarczystego chołupca, inni nawoływali służbę.

— Todor!

— Michał!...

— Nie pój tylko zaraz koni, bo się ochwacą.

— Opatrz dobrze koło u bryki, bo coś skrzypiało jak dusza w czyscu.

Mieszały się pytania i odpowiedzi, śmiechy i żarty a czasem i dowcipy rubaszne.

— Zdaje się, że nikogo z nas nie brakuje?—ktoś rzucił.

— A dużo panien pojechało do Baczyńskich?—zapytał arendarza Kocio Pomiszewski.

— Co nie miało jechać? i panna Izabela pojechała.

Śmiech buchnął—Kocio sponsowiał, jak piwonja

— Już to Lipa z nieczystym duchem ma do czynienia. Wie wszystko?

— Dla czego ja nie mam wiedzieć?—odpowiedział uśmiechając się Lipa. — Czy to ja nie bywam po dworach pańskich? czy to mnie nie mówią, nie pytają? czy ja nie mam oczu, któremi patrzę i uszów, któremi słyszę—aj waj!...

Zaledwie hałas umilkł na chwilę, jak w sienie zajazdu wtoczyła się z wielkim turkotem bryka w parę dzielnych mierzynów wprzągnięta.

— A to kto? przecie jesteśmy wszyscy.

Kilku z młodzieży do drzwi podbiegło.

— Aleksy!—zawołano hurmem.

— Ten sam ten sam, — odpowiedział przybyły, gramoląc się z bryki.—Gdzie ja, tam wy—a do Baczyńskiego to już prosto, jak w dym. I grafy je—dodał spostrzegłszy pana Izydora. — A no, gdzie bal tam i marcypan—wiadomo!

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, d. 6. października.

Z takiego, jak Paryż ogniska odmętu i wrzawy zawsze nietrudno o szereg nowości, nadających się do korespondencyi; tembardziej znajdzie się wiele wiadomości, o których dowiedzieć się warto, jeżeli to wielkoświatowe piekiełko, jakiem zawsze chyba Paryż pozostanie, zostało ożywione większym niż zwykle przejazdem i pobytem rozmaitych znakomitości, a nawet głów ukoronowanych.

Pałac w Fontainebleau rozbrzmiewał dawno niesłyszanem wesołem echem hucznego przyjęcia przebywających w jego murach gości; prezydent Faure wraz z małżonką był bardzo zajęty uroczystem podejmowaniem dostojnych osób, pomiędzy któremi najwybitniejszą osobistością był królewicz grecki i Leopold, król belgijski, którego prezydent rzeczypospolitej postanowił rewizytować w Brukselli, podczas zamierzonej tam wystawy. Bawiący również w gościnie w Paryżu lord-major City londyńskiej zaprosił znów prezydenta do Londynu.

Ale kwestya rewizyty, tak prosta u zwykłych śmiertelnikow stała się dla osoby prezydenta bardzo ważnym szkopułem, który gazety rozdmuchały do wielkości kwestyi politycznej. Konstytucya rzeczypospolitej, hojnie szafująca swobodą, nawet nieraz nadmierną dla tysiąców obywateli Francyi, nie przewidziała tak prostej ewentualności, jak czasowe opuszczenie kraju przez prezydenta. Podług konstytucyi z roku 1875 prezydent, jako urzędnik posiadający władzę wyłącznie osobistą, nie może jej nawet chwilowo przelać dowolnie na kogo innego. Więc albo zmienić konstutucyę—huknęły gazety,—albo niech sobie pan prezydent jedzie, a wtedy nie ręczymy, czy nie wybuchnie wojna rewolucya lub komuna. No, zdaje się, że mieliby francuzi przez parę, tygodni tylko trochę ambarasu i wszystko poszłoby zwykłym trybem.

Niewesołe sprawy Madagaskaru; jesienne manewra i kwestya nowego kredytu na poprawę lebelowskich karabinów żywo zajmują umysły paryżan, mniej skłonnych do rozpraw o powszechnem rozbrojeniu.

Odsłonięcie w Fontainebleau pomnika wzniesionego Carnot'owi odbyło się bardzo uroczyście wobec prezydenta, ministrów i zgromadzonych tłumów.

Ale najważniejszym wypadkiem obecnej chwili jest niezaprzeczenie śmierć sławnego uczonego, Ludwika Pasteur'a.

W ostatnich czasach powszechnie znany, 73-letni starzec nieraz uczuwał, że siły go opuszczają. Ci co go często, czasami kilka razy w ciągu dnia, widzieli spacerującego w pobliżu pracowni na rue d'Ulm, już od pewnego czasu zauważyli, że chodzi wolniej, częściej przystaje na ulicy, niż dawniej, co przypisywano tylko osłabieniu, zależnem od ogromnych upałów, jakie wszystkich paryżan zawzięcie trapiły. Tymczasem była to zapowiedź groźniejsza; były to pewnie już oznaki wielkiego osłabienia organizmu, któremu potem silne zmiany temperatury powietrza na ulicy i w salach Instytutu ostateczny cios zadały. Wielki uczony, niby żołnierz ranny na polu walki, nabawił się w pracowni ciężkiej choroby, która go w kilka dni pomimo wszelkich wysiłków lekarskich o śmierć przyprawiła; umarł zostawiwszy wiekopomne doświadczenia i prace o fermentacyi i o gniciu, o bakteryach wywołujących te sprawy, co dało początek pojęciom lekarskim o przyczynach wielu chorób i wskazało drogę, w jaki sposób należy się strzedz chorób zakaźnych i jak je leczyć racyonalnie. Tłumy ludzi zwiedzały zwłoki Pasteur'a; niezliczone mnóstwo depesz kondolencyjnych otrzymała rodzina, która ze względów ceremonii religijnych nie zgodziła się na projektowane złożenie zwłok Pasteur'a w Panteonie. Na pogrzeb przybyły liczne deputacye od wszystkich miast francuzkich i przedstawiciele stowarzyszeń naukowych z całej Europy. Pogrzeb kosztem państwa odbył się wczoraj w uroczystym nastroju, i z niezwykłą pompą pomimo lekkiego deszczu. Przeszło stutysięczny tłum przyjmował udział w złożeniu śmiertelnych szczątków Pasteur'a w podziemiach kościoła Notrdamskiego. Jest to tylko tymczasowe pomieszczenie zwłok, które zgodnie z życzeniem zmarłego będą pochowane w specyalnem mauzoleum przy Instytucie. Na pogrzebie był obecnym prezydent Faure, królewicz grecki i wiele innych znakomitości—przyjmowało udział i wojsko, nad którem komendę sprawował jenerał Saussier; między przemówieniami przy zwłokach wyróżniała się mowa ministra oświaty Poincaré w której obok epokowych odkryć zaznaczono gorący patryjotyzm zmarłego. Te podniosłe zalety Pasteur'a zamanifestowała i liga patryjotyczna, należąc w komplecie do orszaku pogrzebowego.

Z wiadomości sensacyjnych Paryżanie byli wstrząśnięci śmiercią młodego Bixio, syna ogólnie znanego dyrektora paryzkiego towarzystwa omnibusów. Młodzieniec ten znany był w szerokich kołach towarzystwa paryzkiego; elegancki brunet, zajmujący nawet wybitne stanowisko w jednym z tutejszych banków, zastrzelił się z powodu nieszczęśliwej miłości do jednej z najpiękniejszych aktorek paryzkich.

Drugą sensacyjną nowością, łechcącą chciwe wrażeń nerwy paryżan, była sprawa Heleny Boulton i wyrok uniewinniający ją wydany przez sąd przysięgły departamentu Sekwany. Oskarżona z pochodzenia angielka, wystrzałem z rewolweru zabiła niejakiego Glasera, pomocnika dyrektora Banku rossyjskiego; powodem rozpaczliwej zbrodni był znów zawód miłosny.

Są to wreszcie wypadki częste w rozszalałym wirze podnieconego życia paryżan; dla sądów są one wszystkie równe, te same paragrafy kodeksów zawsze je przewidują. Publiczność zaś pomija je milczeniem lub podnosi wielką wrzawę nie z powodu psychologii przestępstwa, ale zależnie od osobistości oskarżonych.

Kongresy ciągle są tutaj na porządku dziennym. Wczoraj zakończył swoje posiedzenia kongres socyologiczny, wypełniony bardzo ważnemi referatami i ożywioną dyskusyą. Aż w trzech odczytach poruszano kwestyę rozwoju form rodziny, patryjarchatu i matryjarchatu, również debatowano nad kwestyą przestępstwa, jako objawu społecznego.

Przed paroma tygodniami ukończył swe doroczne posiedzenie konwent masoneryi francuzkiej. Na czele nowej rady konwentu postawiono Lucipia, byłego członka komuny, co słusznie uważane jest za cechę wysokiej krańcowości masoneryi, która znów zaostrza swoją niechęć do klerykalnej partyi francuzkiej i do nowej otwartej z nią walki wstępuje. A i bez tej walki nowe kłopoty ma partya klerykalna i duchowieństwo. Na żądanie gabinetu Ribota parlament nałożył podatek spadkowy (droits d'abonnement) na zakony i kongregacye Pobór tych postanowionych podatków będzie niewątpliwie punktem wyjścia dla nowych nieporozumień z duchowieństwem, z pośród którego część postąpić ma z rezygnacyą wobec przymusu, część zaś organizuje opór, na podstawach legalnych. Rozstrzygnie się to w niedalekiej przyszłości, bo w drugiej połowie tego miesiąca.

Wspomniałem wam już w jednej z poprzednich korespondencyi, że ksiądz Charbonnel projektował zebranie „parlamentu religijnego“ podczas wystawy w 1900 r., na tem zebraniu przedstawiciele wszelkich wyznań, nawet niechrześcijańskich, mają się porozumieć, co do elementarnych zasad etyki i co do przechowywania wiary w ludzkości.

Jest i drugi projekt religijny, również na czas międzynarodowej wystawy wyznaczony, mianowicie, aby każdy naród chrześcijański przedstawił, czem był w swej epoce przedchrześcijańskiej a czem po przyjęciu chrystyanizmu. Temu drugiemu projektowi bardziej sprzyjają koła kościelne, niż projektowi ks. Charbonnel, którego podobno spotyka niechęć ze strony arcybiskupa paryzkiego, msgr. Richard'a.

Wkrótce ukaże się nowe pismo wielkiej doniosłości ze względu na zapowiedzianych współpracowników, wielkie też jako przedsiębiorstwo literackie. Tytuł: „Cosmopolis,“ miesięcznik, wydawany w trzech językach: francuzkim, angielskim i niemieckim; jednocześnie wychodzić ma w Paryżu, Berlinie, Londynie i New-Yorku. Najlepsze siły literackie całego świata przyobiecały swój stały udział; z francuzów Bourget jako powieściopisarz i Lemaitre jako krytyk dramatyczny.

Komedya Francuzka rozpoczęła swój sezon bardzo gorąco przyjętą nowością Hervieu'go „Les tenailles,“ gdzie „obcęgami“ są prawa małżeństwa. W małżeństwie, skojarzonem, jak się to powszechnie dzieje, bez podkładu szczerego uczucia, mąż jest zupełnie „correcte,“ spełnia wszystkie swoje obowiązki podług praw, uczciwie, nie myśli nawet o zdradzie swej małżonki, ale również nie uważa sobie za obowiązek i nie myśli o zaspokojeniu subtelnych, duchowych jej potrzeb. Pani Irena natura pragnąca miłości prawdziwej, serdecznej, zrażona do męża, pokochała przybyłego z dalekiej podróży swego przyjaciela lat dziecinnych, który nawet kiedyś starał się o Irenę, ale jako partya niestosowna został przez jej rodziców usunięty. Młoda kobieta oszukiwać męża nie chce i błaga go o ułatwienie rozwodu.

Mąż zasłania się prawem, przeciwko któremu on nie wykroczył i nie myśli zgodzić się na rozwód, któryby osłabił jego poważniejsze stanowisko społeczne, jako człowieka żonatego. „Obcęgi“ małżeństwa ścisnęły żonę, niezaspokojoną w swych potrzebach subtelniejszego uczucia... Minęło lat dziesięć; małżonkowie dotychczas w pozornej harmonii, posprzeczali się dziś oto, czy oddać dziewięcioletniego syna do szkół, jak chce mąż, czy też jako słabowitego pozostawić na wychowaniu w domu, jak chce Irena. Kto ma *prawo* rozporządzać losem dziecka? W gorącej sprzeczce „obcęgi“ małżeństwa ścisnęły z kolei męża, bo żona wyjawia mu, przykrą dla niego wiadomość dotyczącą dziecka, a gdy oszukany Robert mówi z wściekłością o rozwodzie, Irena zasłania się prawem, według którego on jest prawnym ojcem dziecka, któremu nadał nazwisko, i do rozwodu nie dopuszcza.

Sztuka odznacza się wielką prostotą, zrobiła ogromne wrażenie, jako rzecz na czasie, nawet wobec prawa rozwodowego Naquet'a.

Ale ciekawą jest osobistość autora. Hervieu rozpoczął karyerę w gabinecie Freycinet'a, ministra spraw zagranicznych. Gdy mu zaproponowano posadę attaché poselstwa francuzkiego do Meksyku, podał się do dymisyi, czując w sobie mniej zapału do Dyplomacyi, niż do dziennikarstwa i literatury, których znów bez Paryża nie rozumiał. Pierwsza jego komedya „Les paroles restent“ była przed paroma laty grana w Wodewilu; „Les tenailles“ są drugim z rzędu utworem scenicznym tego dramaturga i powieściopisarza.

Z pierwszej sceny francuzkiej przejdziemy odrazu do teatru de la Republique, gdzie p. Paweł Burani wystawił sztukę w 4-ch aktach i dwunastu obrazach „Les étoilles de Paris.“ Jestto wesoły przegląd ubiegłego sezonu, w którym główną bohaterką jest p. Eugenja Buffet, znana z tegorocznych występów podwórzowych i salonowych, podjętych w celach filantropijnych. Dla tego też i podczas przedstawień w teatrze de la Republique publiczność gorąco oklaskuje dobroczynną śpiewaczkę.

Przed zapełnioną salą wykwintnych paryżan nastąpiło otwarcie teatru „Folies Bérgères.“ Wystawiono tam bardzo udatny balecik: „La belle et la bête“ z muzyką E. Diet'a; kostyumy świetne, a pierwsza tancerka panna Rivolta dokazuje cudów choreograficznych.

Z dalszych „nadzwyczajności“ tego jedynego w swoim rodzaju teatru, jest występ sławnych amerykańskich akrobatów, wybornego żonglera Car'y. dwóch bliźniąt: karła i olbrzyma.

Oto mniejwięcej program codzienny przedstawień w wielkiej muzycznej halli, znajdującej się przy ulicy Richer, gdzie jak zawsze biegnie szukać wesołej rozrywki najbardziej elegancki tłum Paryża.

„Le Concert Parisien“ pod dyrekcyą Dorfeuil'a cieszy się też wielką popularnością, gdzie oprócz ulubionych śpiewaków i śpiewaczek występy sławnego oryginalnego komika Buislay'a są najbardziej przyciągającym magnesem.

Francuzi pomału godzą się z Wagnerem; dawne uprzedzenia i nienawiść do jego utworów, zaczyna się przeradzać w upodobanie, a nawet w zapał przechodzi.

W Wielkiej Operze po „Lohengrinie,“ „Tanuhäuserze“ i „Walkiryach“ usłyszeć mamy i inne dzieła Wagnera, mianowicie „Śpiewaków cechowych“ i „Tristana i Isoldę.“

Z dzieł francuzkich oryginalnych zapowiadają „Fredegondę Guirand'a, dokończoną po jego śmierci przez Saint-Saënsa.

W Operze komicznej ma się ukazać „Orfeusz“ Glücka i „Ksawera“ Dubois'a; zapowiadają też znaną w Niemczech i dobrze już ograną „Haensel i Gretel“ Humperdincka.

Teatry „wolne“ będą pewnie najbardziej zajmujące; wogóle sezon nie zapowiada się zbyt świetnie. Jakaś posucha zawiała na nowości teatralne!

A propos posuchy teatralnej muszę wam coś dodać o stanie pogody w całej Francyi, choć to o pogodzie najlepiej nie pisać wiele, jeżeli zaś już coś ważnego ma się na myśli, to wypada od pogody zaczynać. Od tygodnia dopiero mamy trochę chłodu i deszczów. Do tego czasu bywały tropikalne upały, skargi na suszę w polach, ogrodach i winnicach sypały się z całej Francyi. Rzeki wysuszone, łąki i jarzyny spalone, ziemia zeschła się w bryły kamienne; winnice spalone, owoców mało. Zakłady, w których maszyny poruszane były wodą, musiały zawiesić swoją czynność z powodu ogólnej posuchy. Nic dziwnego, że hurtem narzekają rolnicy i wogóle przemysłowcy rolni.

Zawiązane niedawno w Paryżu skromne „stowarzyszenia ubogich pracownic“ mnożą się bardzo szybko na prowincyi.

Skrzętnie zbierane drobne składki chronią słabe i złożone chorobą stowarzyszone od nędzy oraz zapewniają utrzymanie i leczenie w razie choroby.

Macie więc całą wiązkę nowości: jest trochę polityki, trochę plotek i sensacyjnych wiadomości, wspomnienie o Pasteur'ze, coś o kongresach i teatrze, nie zapomniałem nawet o pogodzie.

O ruchu umysłowym i artystycznym, który dopiero teraz po letnich feryach na dobre się rozpocznie, napiszę obszernie w następnej korespondencyi.

C. H.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż odpowiedzialność lekarzy wolno praktykujących za nie udzielenie pomocy lekarskiej potrzebującem tego, została w nowym kodeksie karnym zmniejszoną i zmienioną. Wedle projektu nowej ustawy lekarz karany bywa tylko za nie udzielenie pomocy choremu, znajdującemu się w stanie omdlenia i pozbawionemu przytomności, lub za nie stawienie się na wezwanie prawem ustanowionej władzy.

— W ministeryum komunikacyi ma rozpocząć naradę komisya specyalna, wyznaczona do opracowania projektu urządzenia na stacyach kolei składów zbożowych. Budynki mają być najprostsze, przecież suche i przewiewne, zaopatrzone w przybory mechaniczne do przesypywania i suszenia zboża.

— Warszawskie Towarzystwo dobroczynności ogłosiło sprawozdanie czynności swoich z 1894 r., w którym to czasie Towarzystwo utrzymywało stale w zakładach swoich 5,996 osób; na różne wsparcie i pomoce wydało 25,458 rs. Razem Towarzystwo wydało w wymienionym roku 31,454 osobom 232,101 rs., zatem wydatki przewyższyły o 12,600 rs., przychody. Kapitały wieczyste Towarzystwa przedstawiały 1,305,003 r.; na lokacyi hypotecznej 155,271 rs., w papierach procentowych 1,127,100 rs., w gotowiźnie 12,111 rs., mieszczących się w Banku państwa; zaliczenia do spłaty pożyczek w ciągu lat dziesięciu 10,500 rs.

— Licząc od Zielonych Świątek przybyło do Częstochowy po d, 16 września 665 kompanii, które wprowadzali na Jasną Górę księża Paulini przy dźwiękach kapeli klasztornej. Oprócz tego była liczba znaczna kompanii takich, które parafialni ich kapłani wprowadzali do tej świątyni. Blisko sto kompanii miało własne swe orkiestry wiejskie i miejskie.

— „Kurjer Warszawski“ otrzymał list wystosowany do redaktora od emigrantów naszych w Brazylii, a w którym piszą: „Ubiega już lat pięć jak przybyliśmy do Brazylii szukając chleba; przebyliśmy wiele nędzy zanim zdobyliśmy jakie takie utrzymanie. Trzystu nas tu jest kolonistów, wszyscy obarczeni rodziną, razem około 1,000 osób; już od lat pięciu jesteśmy pozbawieni religii, oświaty i teraz dopiero Bóg nam zesłał człowieka wykształconego z jak najlepszemi tendencyami, który zajął się nauką naszych dzieci i oświecaniem dorosłych. Brak nam tylko książek, o nie więc błagamy, o podręczniki nauk elementarnych, książeczki ze szkół freblowskich, bajki i wiersze, mapki, książki beletrystyczne, poezye, książki do nabożeństwa, encyklopedye, książki lekarskie, o gorzelnictwie i piwowarstwie, pszczolnictwie i ogrodownictwie i tem podobne. Wszystkie choćby stare, potrzebne nam będą i uszczęśliwią nas, zamierzamy bowiem urządzić biblioteczkę. Mamy nadzieję, że nie odmowicie nam pokarmu duchowego i wspólnemi siłami pośpieszycie za pośrednictwem szanownej redakcyi przysłać żądane książki. Adres dla przesyłki: „Süd America, Brezil. port Santos; kolonista Miguel Muszyński.“ Adres dla listów, lub książek obandolerowanych: „Süd America, Brazil, Estarao Bernardo, kolonia Rio Pigino. Colonista Müguel Muszyński.“

— Komitet dekoracyjny, przyszłej wystawy hygienicznej, pracuje nad przyozdobieniem placu wystawowego pragnąc mu dać wygląd estetycznie piękny. Na frontonach głównego budynku po nad cokułem mieścić się będą w niszach na tle złotem postacie alegoryczne, naturalnej wielkości człowieka, wyobrażające podług pojęć starożytnych cztery żywioły, wywierające wpływ swój na fizyczny rozwój ludzkości. Alchimowicz ma przedstawić wyobrażenie ziemi, Piątkowski wody, Wasilewski powietrza, Żmurko ognia. Po nad środkowemi wejściami do części środkowej pawilonu odmalowane będą podobnie postacie alegoryczne w rozmiarach wielkości nieco zwiększonej. Obraz prof. Gersona przedstawia Piękno i Siłę; do wykonania drugiego obrazu zaproszonym zostanie jeden z miejscowych malarzy. Co do rzeźb, zdobić one będą przeważnie bramy wejścia, oraz aleję środkową posągami i biustami postaci alegorycznych oraz lekarzy starożytnych, których wiedza zdobyła im unieśmiertelnienie. Według projektu bramy mają być ozdobione posągami bóstw mitologicznych i lekarzy starożytności. Szkic bardzo okazały tych bram podjął się opracować E. Goldberg, do wykonania ozdób malarskich na fryzach bocznych części głównego pawilonu zaproszeni będą p. p. Guranowski i Strzałecki; Jezierski urządzić ma dyoramę starej Warszawy, przecież w budynku osobnym.

— Panorama artystyczna, którą malarz, Jan Styka zamierza urządzić na Foksalu, mieścić będzie dwa wielkie płótna jego pendzla. Jedno przedstawiać będzie Golgotę: ogród Getsemani w chwili gdy Judasz Iskariota składa świętokracki pocałunek na ustach Jezusa, znajdującego się między apostołami. Drugi obraz ukaże Zmartwychwstanie Pańskie.

— W miesiącu kwietniu przyszłego roku upływa dwadzieścia pięć lat od dnia, w którym wykonanym został pierwszy koncert Towarzystwa Muzycznego i dla uczczenia pamiątki tej chwili Towarzystwo ogłosiło konkurs na „Polonez jubileuszowy“ na wielką orkiestrę z nagrodą 150 rs. Sędziami będą p. p. Ciechomski, Münchhejmer, Noskowski, Poliński, Roguski, Barcewicz i Grossman. Sąd konkursowy ogłosi wyrok w d. 1-go lutego 1896 r.

— Wikaryusz katedry płockiej, ks. Teofil Kowalski, wydawać zacznie wkrótce czasopismo: „Śpiew chóralny.“ Aktem przedwstępnym było złożenie w Instytucie muzycznym egzaminu, na którym kapłan ten szanowny otrzymał świadectwo nauczyciela muzyki.

— Na zebraniu komitetu artystycznego przyszłorocznej wystawy hygienicznej D-r Polak wniósł projekt urządzenia jakoby fragmentu dzielnicy Starego Miasta, co przedstawiało by stan zdrowotności miast dawnych. Rzecz to bardzo zajmująca, ale kosztowna; chociażby wzniesiono tylko sposobem dekoracyjnym kilka kamienic, wydatek był by niemniej znaczny, przecież grono kupców warszawskich dowiedziawszy się o zamiarze, powzięło myśl, aby w tych kamienicach były urządzone sklepy, przedstawiające na sprzedaż przedmioty, mające związek z celem wystawy, co jak przypuszczać można, pokryło by koszta.

— Dyrekcya War. Towarzystwa ubezpieczeń od ognia wyznaczyła urzędnikom tej pożytecznej instytucyi gratyfikacyę jubileuszową w tej formie, iż każdy urzędnik, który wysłuży w niej lat dwadzieścia pięć otrzyma sumę, odpowiadającą rocznej jego pensyi. Wypłacono już tę gratyfikacyą pięciu urzędnikom, którzy pracują w tej instytucyi od początku jej założenia; wszyscy inni otrzymali na rachunek przyszłej gratyfikacyi zaliczenie. Ci, którzy wysłużyli od lat 20 do 24, otrzymali na rachunek gratyfikacyi pensyą pięciomiesięczną; za 15 do 20 lat służby dostali pensyą trzymiesięczną, za 5 do 10-ciu lat pensyą dwumiesięczną, wszyscy inni pensyą miesięczną. Obok tego zaliczenia strącane będą z ewentualnej gratyfikacyi po wysłużeniu lat dwudziestu pięciu. Oprócz tego wszystkim pracującym w dyrekcyi, jak również agentom prowincyonalnym i reprezentantom rozdane będą żetony pamiątkowe.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Za późno**, przez autorkę powieści „Silny duch.“ Przekład z niemieckiego, ark. 5.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — **Pieśń o tęsknocie ludzkiej**, przez Jarosława Vrchlickiego. — **Co życie dać może.** IV. Charakter przez M. I.—**Ludwik Pasteur**, przez Włodzimierza Zagórskiego.—Kazimierz Gliński. **Klęska** Powieść (dalszy ciąg). — **Nowiny paryzkie**, przez C. H.—**Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Za późno, powieść przez autorkę powieści „Silny duch“ przekład z niemieckiego ark. 5-ty. — Przegląd mód. 37 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 27 Сентября 1895 г.